



JOHN
GRISHAM

GÓRA
BEZPRAWIA

NAJLEPSZY THRILLER PRAWNICZY GRISHAMA
OD CZASU FIRMY I RAPORTU PELIKANA

*Pamięci **Ricka Hemby** (1954–2013)*

Na razie, Asie.

Rozdział 1

Najgorsze było czekanie – poczucie niepewności, bezsenne noce, wrzody żołądka. Koledzy wzajemnie się nie zauważali i kryli za zamkniętymi na klucz drzwiami. Sekretarki i asystenci dzielili się szeptem ostatnimi plotkami, nie patrząc sobie w oczy. Wszyscy byli spięci i trawili czas i nerwy na wieczne domysły: „Kto następny?”. Wspólnicy – szefowie działów – chodzili jak struci, unikając podwładnych. W każdej chwili mogli dostać polecenie, że mają zwolnić ludzi.

Plotki nie oszczędzały nikogo. Dziesięciu prawników z działu procesowego do zwolnienia (tylko częściowo prawda, zwolniono siedmioro). Dział nieruchomości – łącznie ze współnikami i całym personelem – do likwidacji (prawda). Ośmiu współników z działu antytrustowego przechodzi do innej firmy (nieprawda, na razie).

W pracy panowała tak duszna atmosfera, że gdy tylko się dało, Samantha uciekała z biura i siadała z laptopem w którejś z kawiarni na dolnym Manhattanie. Pewnego pogodnego dnia – ściśle mówiąc, dziesiątego dnia po upadku Lehman Brothers – usiadła na ławce w parku i zapatrzyła się na górujący kawałek dalej wieżowiec. Stał przy Broad Street 110, a jego górne piętra dzierżawiła Scully & Pershing,

największa firma prawnicza na świecie. Jej firma, choć przyszłość w niej trudno było nazwać pewną. Dwa tysiące prawników w dwudziestu krajach, z tego ponad połowa w samym Nowym Jorku, z czego tysiąc w tym jednym budynku, od trzydziestego do sześćdziesiątego piątego piętra. Ciekawe, ilu z nich chciałoby teraz wyskoczyć? Nie umiała tego zgadnąć, ale nie jej jednej przychodziły do głowy takie myśli. Największa firma prawnicza na świecie zapadała się w sobie i kurczyła, podobnie zresztą jak jej konkurencja. Wielka Prawnica, jak ją przezywano w branży, wpadła w taką samą panikę jak fundusze hedgingowe, banki inwestycyjne i waszyngtońskie konglomeraty ubezpieczeniowe, a na niższym poziomie łańcucha pokarmowego – banki komercyjne przy głównych ulicach miast.

Dziesiąty dzień minął bez rozlewu krwi, podobnie jak następny. W dwunastym zabłysła nawet iskierka nadziei, gdy Ben, kolega Samantha, przyniósł do biura wiadomość, że ciśnienie na rynkach kredytowych w Londynie nieco opadło i, być może, znajdują się dodatkowe fundusze dla kredytobiorców. Już po paru godzinach jednak pogłoski zostały zdementowane: nic takiego się nie dzieje. Więc czekali dalej.

Działem nieruchomości komercyjnych w Scully & Pershing kierowali dwaj wspólnicy. Jeden zbliżał się do wieku emerytalnego i został już wypchnięty ze stanowiska, drugim był Andy Grubman, czterdziestoletni biurokrata, który w życiu nie widział sali sądowej od środka. Jako wspólnik miał piękny gabinet z widokiem na płynący w oddali Hudson, którego też od lat nie widział. Na półce za biurkiem, pośrodku jęgo Ściany Próżności, stała kolekcja miniaturowych drapaczy chmur, które lubił nazywać „swoimi domami”. Po skończeniu budowy jednego z „jego” wieżowców zaangażował rzeźbierza i zlecił mu wykonanie kilku miniatur budynku. Największa stanęła u niego w gabinecie, mniejsze

we wspaniałomyślnym geście sprezentował pozostałym członkom „swojej drużyny”. W ciągu trzech lat pracy w S&P kolekcja miniatur Samantha urosła do sześciu sztuk, jednak teraz wyglądało na to, że przestanie rosnąć.

– Siadajcie – powiedział Grubman, zamykając za nimi drzwi.

Samantha usiadła obok Bena, który zajął miejsce obok Izabelle. W oczekiwaniu na wyrok wszyscy troje spuścili głowy i wpatrzyli się w swoje buty. Samantha, czując się trochę jak skazaniec przed plutonem egzekucyjnym, miała nawet ochotę chwycić Bena za rękę. Andy opadł na fotel i unikając ich wzroku, zwięźle przedstawił sytuację, w jakiej się znaleźli.

– Jak wiecie, bank Lehman Brothers padł czternaście dni temu.

No coś takiego, Andy! Kryzys finansowy i zapaść kredytowa postawiły świat na krawędzi katastrofy i wszyscy o tym wiedzieli, ale Andy rzadko miewał coś oryginalnego do powiedzenia.

– Aktualnie mamy w obróbce pięć projektów finansowanych przez L.B. Odbyłem długie rozmowy z pięcioma inwestorami i wszyscy się wycofali. Mieliśmy jeszcze trzy następne w przygotowaniu, dwa finansowane przez Lehmana, jeden przez Lloyda, i te trzy kredyty też zostały zamrożone. Bankierzy pochowali się po sejfach i boją się pożyczyć choćby dolara.

Tak, Andy, to też wiemy. Można o tym przeczytać na pierwszych stronach wszystkich gazet. Więc przejdź do rzeczy, zanim wyskoczymy przez okno.

– Wczoraj zebrał się komitet wykonawczy i dokonał pewnych cięć. Zwalniamy trzydziestu prawników z jednorocznym stażem pracy. Niektórzy odchodzą natychmiast, inni dostają miesięczne wypowiedzenie. Zostaje też bezterminowo wstrzymana rekrutacja nowych pracowników.

No i, mówię to z ciężkim sercem, cały nasz wydział ulega likwidacji. Zostaje zamknięty. Zlikwidowany. Nie wiadomo, kiedy inwestorzy znów zaczną budować, jeśli w ogóle. Firma nie może was trzymać na liście płac, podczas gdy świat będzie czekał na pojawienie się dostępnych kredytów. Cóż, całkiem możliwe, że wchodzimy w okres głębokiej depresji. Niewykluczone, że to dopiero pierwsza runda zwolnień. Przykro mi, kochani. Naprawdę, bardzo mi przykro.

Ben pierwszy odważył się odezwać:

– Czyli my należymy do tych wyrzucanych w trybie natychmiastowym, tak?

– Nie. Stoczyłem o was walkę, wierzcie mi. Rzeczywiście początkowo zamierzali zwolnić was ze skutkiem natychmiastowym. Nie muszę przypominać, że dział nieruchomości jest najmniejszy w całej firmie i chyba został najmocniej trafiony przez obecny kryzys. Namówiłem ich, żeby was wysłać na urlop bezpłatny. Oznacza to, że przestajecie pracować, ale może później będziecie mogli wrócić.

– Może? – powtórzyła Samantha. Isabelle otarła z twarzy łzę, ale poza tym dzielnie się trzymała.

– Tak, i to wielkie „może”. Samantho, w tej chwili nie ma rzeczy pewnych, rozumiesz? Kręcimy się w kółko za własnym ogonem. Za pół roku wszyscy możemy wylądować na zasiłku dla bezrobotnych. Widziałaś na zdjęciach kryzysu z tysiąc dziewięćset dwudziestego dziewiątego roku kolejki bezrobotnych po talerz zupy?

Talerz zupy? Andy, nie wygłupiaj się. Jako wspólnik w zeszłym roku zainkasowałaś dwa miliony osiemset tysięcy dolców, co w S&P stanowiło normę i co, nawiasem mówiąc, dawało firmie zaledwie czwarte miejsce pod względem zarobków wspólników. A czwarte miejsce nie było powodem do dumy, w każdym razie nie w czasach przed upadkiem Lehman Brothers, załamaniem się Bear Stearns i pęknięciem

bańki kredytów hipotecznych podwyższonego ryzyka. Teraz to czwarte miejsce nagle wyglądało całkiem atrakcyjnie, przynajmniej dla niektórych.

– Na czym ma polegać ten urlop bezpłatny? – zapytał Ben.

– Propozycja jest taka: przez następne dwanaście miesięcy formalnie pozostajecie pracownikami firmy, ale nie dostajecie żadnego wynagrodzenia.

– Cudownie – bąknęła Isabelle.

Ignorując ją, Andy ciągnął:

– Zachowujecie swoje ubezpieczenie zdrowotne, jednak tylko pod warunkiem podjęcia stażu w odpowiedniej instytucji dobroczynnej non profit. Dział HR już pracuje nad ich listą. Nie przychodzicie do pracy, zajmujecie się zbawianiem świata i żarliwie się modlicie, żeby gospodarka znów stanęła na nogi. Za jakiś rok wracacie do firmy na tych samych warunkach i bez utraty stażu pracy. Nie będzie to już praca w dziale nieruchomości, ale firma znajdzie dla was odpowiednie zajęcie.

– Czy po skończeniu tego urlopu mamy gwarancję zatrudnienia? – spytała Samantha.

– Nie, nikt niczego nie gwarantuje. Szczerze mówiąc, nikt nie potrafi przewidzieć, co się wydarzy za dwanaście miesięcy. Trwa kampania wyborcza, Europa stanęła na głowie, Chińczykom odbiło, banki padają, rynki się zwijają, nikt nic nie buduje ani nie kupuje. Koniec świata.

Przez chwilę wszyscy trwali w ponurym milczeniu, zmagając się z wizją końca świata. W końcu Ben zapytał:

– A ty, Andy? Ty też odchodzisz?

– Nie, przenoszą mnie do podatków. Wyobrażacie sobie? Nienawidzę podatków, ale miałem do wyboru albo to, albo jeżdżenie taksówką. Mam dyplom z prawa podatkowego, więc uznali, że mogę się przydać.

– Gratulacje – rzekł Ben.

– Przykro mi, kochani.

- Nie, mówię szczerze. Naprawdę ci gratuluję.
- Za miesiąc mnie też może tu nie być. Kto to może wiedzieć?
- Kiedy mamy odejść? – spytała Isabelle.
- Zaraz. Procedura przewiduje złożenie przez was wniosku o bezpłatny urlop, spakowanie rzeczy i opuszczenie budynku. Dział HR prześle wam mailem wykaz organizacji non profit i wasze papiery. Przykro mi, kochani.
- Przestań to w kółko powtarzać – burknęła Samantha. – Nie mówisz nic, co by nam pomogło.
- To prawda, ale mogło być gorzej. Większości pracowników w waszej sytuacji nie proponują urlopu bezpłatnego. Po prostu z miejsca zwalniają.
- Przepraszam, Andy – powiedziała. – Wszyscy dajemy się ponieść emocjom.
- W porządku, ja to rozumiem. Macie prawo być źli i podenerwowani. Pomyślcie tylko: wszyscy macie dyplomy uniwersytetów z Ivy League, a wyprowadzają was z budynku jak złodziejasków. Wysyłają was na zieloną trawkę jak zwykłych roboli. To wstrętne, po prostu wstrętne. Niektórzy wspólnicy zaproponowali nawet obcięcie sobie poborów o połowę, byle do tego nie dopuścić.
- Założę się, że wielu takich nie było – mruknął Ben.
- Tak, bardzo niewielu, niestety. Ale decyzja została już podjęta.



W boksie dzielonym przez Samantę z trzema innymi osobami, z których jedną była Isabelle, czekała na nią pracownica ochrony w czarnej spódnicy, czarnym żakiecie i czarnym krawacie. Biurko Bena znajdowało się kawałek dalej. Ze sztucznym uśmiechem kobieta powiedziała: „Jestem Carmen, czy mogę w czymś pomóc?”. W rękach trzymała pusty karton bez logo, by nie można było poznać, że to

firmowy pojemnik Scully & Pershing na dobytek pracownika wysyłanego na przymusowy urlop, wyrzucanego z pracy lub żegnającego się z biurem z innego powodu.

– Nie, dziękuję – odrzekła Samantha. Udało jej się to powiedzieć w miarę grzecznie. Mogła odwarknąć i być niemila, ale w końcu Carmen wykonywała tylko swoją pracę. Samantha przystąpiła do wyciągania szuflad i wyjmowania rzeczy osobistych. W jednej z nich leżało kilka teczek z dokumentami S&P. – A co z tym? – spytała.

– Proszę zostawić – odrzekła Carmen. Nie spuszczała z niej wzroku, jakby się bała, że Samantha może chcieć wynieść jakąś bezcenną własność firmy. Prawda była taka, że wszystkie istotne dokumenty były przechowywane na dyskach komputera stacjonarnego na jej biurku i laptopa, z którym praktycznie się nie rozstawała. Laptop jednak należał do Scully & Pershing i jak ze wszystkim innym musiała się z nim teraz pożegnać. Do plików w obu komputerach mogła wprawdzie wejść z prywatnego laptopa, ale do tego był potrzebny kod dostępu, a ten na pewno został już zmieniony.

Poruszając się jak w lunatycznym transie, Samantha opróżniła szuflady oraz ostrożnie zdjęła z półki i spakowała sześć miniatuerek wieżowców, choć właściwie miała ochotę wyrzucić je do kosza. Gdy przyszła Isabelle, też dostała karton na swoje rzeczy. Reszta personelu – prawnicy, sekretarki, asystenci – miała coś pilnego do załatwienia w innych częściach biura i zniknęła. Przyjęło się, że kiedy ktoś opróżniał swoje biurko, nie należało mu w tym przeszkadzać. Żadnych świadków, żadnego rozczulania się, żadnych wymuszonych pożegnań.

Isabelle miała podpuchnięte i zaczerwienione oczy; widać przepląkała ten czas w toalecie.

– Zadzwoń do mnie – szepnęła. – Spotkajmy się wieczorem na drinka.

– Jasne. – Samantha kiwnęła głową. Skończyła upychać

wszystko w kartonie, aktówce i swej wielkiej designerskiej torbie, po czym, nie oglądawszy się za siebie, ruszyła za Carmen do holu na czterdziestym ósmym piętrze. Czekać na windę, ani razu się nie obejrzała, by obrzucić biuro ostatnim spojrzeniem. Drzwi się rozsunęły i na szczęście winda okazała się pusta.

– Może ci to ponieść? – zaproponowała Carmen, wskazując karton, który zrobił się całkiem ciężki.

– Nie – mruknęła Samantha i weszła do windy. Carmen weszła za nią i nacisnęła przycisk poziomemu zero.

Właściwie dlaczego kazali jej wyprowadzić mnie z budynku? Im dłużej Samantha o tym myślała, tym większa ogarniała ją złość. Zbierało jej się na płacz, miała ochotę nawrzeszczyć na tę kobietę, ale najbardziej chciała zadzwonić do matki i wyżalić się. Winda stanęła na czterdziestym trzecim piętrze i wsiadł elegancko ubrany młody mężczyzna. W rękach trzymał identyczny karton, przez ramię miał przewieszoną torbę podróżną, pod pachą ścisnął skórzaną aktówkę i patrzył takim samym pustym, otepiałym wzrokiem jak ona. Samantha widywała go w windzie, ale nigdy oficjalnie się nie poznali. Taka to była firma. Moloch, którego pracownicy podczas koszmarnego przyjęcia biurowego z okazji Bożego Narodzenia musieli nosić identyfikatory z imieniem i nazwiskiem. Mężczyźni towarzyszyła kobieta w identycznym czarnym uniformie i czarnym krawacie. Carmen ponownie wcisnęła przycisk poziomemu zero. Samantha stała ze spuszczoną głową, zdecydowana milczeć, nawet gdyby ktoś się do niej odezwał. Na trzydziestym dziewiątym piętrze winda znów stanęła i wsiadł Kirk Knight wpatrzony w wyświetlacz swojej komórki. Winda ruszyła, Knight uniósł wzrok, zobaczył dwa kartony pełne drobiazgów i zeszytniał. Był starszym wspólnikiem z działu fuzji i przejęć oraz członkiem komitetu wykonawczego. Stał twarzą w twarz z dwiema ze swych

ofiar, z trudem przelękając ślinę i nie odrywając wzroku od drzwi windy. A potem nagle wcisnął przycisk dwudziestego ósmego piętra.

Samantha czuła się zbyt zgnębiona, by chcieć go zaatakować. Mężczyzna z kartonem miał zamknięte oczy i był nieobecny duchem. Winda stanęła i Knight bez słowa wysiadł. Gdy drzwi się zasunęły, Samantha uprzytomniła sobie, że przecież firma dzierżawi piętra od trzydziestego do sześćdziesiątego piątego. Więc co Knighta nagle przypiliło, by wysiąść na dwudziestym ósmym? A tam, co ją to obchodzi?

Carmen poprowadziła ją przez hol do wyjścia na Broad Street i w drzwiach bąknęła potulnie „przykro mi”, ale Samantha nie zareagowała. Włączyła się w strumień przechodniów i obładowana jak muł ruszyła przed siebie bez konkretnego celu. A potem stanęła jej przed oczami fotografia w gazecie, na której grupki pracowników Lehman Brothers i Bear Stearns wychodziły z pudłami pełnymi osobistych rupieci, jakby w popłochu uciekały z pożaru. Na dużym kolorowym zdjęciu, które trafiło na pierwszą stronę części „Timesa” poświęconej biznesowi, widać było pracownicę Lehman Brothers, jak z policzkami mokrymi od łez stoi bezradnie na chodniku przed budynkiem firmy.

Ale takie zdjęcia już się opatrzyły i Samantha nie zauważyła żadnych wycelowanych w siebie obiektów. Postawiła karton na chodniku na rogu Broad i Wall i zaczęła się rozglądać za taksówką.

Rozdział 2

Samantha dotarła do swojego szpanerskiego loftu za dwa tysiące dolarów miesięcznie w SoHo*, rzuciła karton na podłogę i opadłszy ciężko na sofę, wzięła do ręki komórkę. Przymknęła oczy i głęboko oddychając, chwilę odczekała, by uspokoić nerwy. Chciała usłyszeć głos matki i potrzebowała jej słów otuchy, nie chciała jednak wyjść na słabą, skrzywdzoną i bezradną.

Dopiero jednak gdy sobie uświadomiła, że właśnie wyrzucono ją z pracy, której serdecznie nie znosiła, poczuła prawdziwą ulgę. Dziś wieczór zamiast ślęczeć w biurze będzie wreszcie mogła obejrzeć jakiś film lub spotkać się z przyjaciółmi na kolacji. W najbliższą niedzielę będzie mogła wyjechać za miasto, nie tracąc ani minuty na myślenie o Andym Grubmanie i stercie papierów na biurku, które wymagają obrobienia przed jego następną sławetną transakcją. Firmofon, ten upiorny wynalazek, który od trzech lat towarzyszył jej na każdym kroku, nagle przestał działać.

* SoHo – South of Houston Street (na południe od ulicy Houston) – fragment dolnego Manhattanu. W dalszej części tekstu występuje też Tribeca – Triangle Below Canal Street (Trójkąt poniżej ulicy Canal) – także fragment dolnego Manhattanu.

Poczuła się wyzwolona i cudownie lekka.

Utrata zarobków stanowiła problem i oznaczała nagły zwrot w karierze zawodowej. Jako prawniczka z trzyletnim stażem zarabiała sto osiemdziesiąt tysięcy dolarów rocznie podstawowej pensji plus całkiem pokaźne bonusy. Kupa forsy, ale w Nowym Jorku wcale nie musiała się starać, żeby ją wydać. Na same podatki rozchodziła się połowa. Miała konto oszczędnościowe, ale zbytnio się nim nie przejmowała. Kiedy się ma dwadzieścia dziewięć lat, jest się singielką w wielkim mieście i pracuje w firmie, o której wiadomo, że przyszłoroczna pensja przekroczy tegoroczną powiększoną o bonusy, to człowiek nie przejmuje się zanedo oszczędzaniem. Jej koleżanka z Columbii pracowała w S&P od pięciu lat, właśnie awansowała na młodszą współpracowniczkę i jej tegoroczne zarobki miały osiągnąć pół miliona dolarów. A Samantha podążała tym samym tropem.

Miała też kolegów, którzy po dwunastu miesiącach harówki sami uciekali ze straszego świata Wielkiej Prawnicy. Jeden z tych zbiegów z S&P – dawny redaktor „Columbia Law Review” – był teraz instruktorem narciarskim w Vermoncie, mieszkał w leśniczówce nad potokiem i rzadko odbierał komórkę. W ciągu trzynastu miesięcy pracy w S&P z ambitnego młodego prawnika przemienił się w otepiałego idiotę, który nie miał czasu wracać do domu i sypiał przy biurku. Tuż przed włączeniem się HR pękł, po prostu wszystko rzucił i wyjechał z miasta. Samantha często o nim myślała, zwykle z nutką zazdrości.

Ulga, strach i upokorzenie. Rodzice opłacali jej naukę w ekskluzywnej i drogiej szkole w Waszyngtonie, potem skończyła z wyróżnieniem wydział nauk politycznych w Georgetown, gładko przemknęła przez wydział prawa na Columbii i ukończyła go z jedną z pierwszych lokat. Po stażu w sądzie federalnym pracę zaproponowało jej kilkanaście megafirm prawniczych. W sumie pierwsze dwadzieścia

dziewięć lat jej życia było pasmem olśniewających sukcesów i bardzo niewielu porażek. Zwolnienie z pracy w tych okolicznościach wyglądało na katastrofę, a wyprowadzenie z biura pod eskortą strażniczki było upokorzeniem. To nie było tylko drobne potknięcie na drodze usłanej sukcesami.

Oczywiście pewną pociechę dawała statystyka. Od upadku Lehman Brothers na ulicę trafiły tysiące młodych, dobrze wykształconych osób. Nieszczęścia chodzą po ludziach i tak dalej, Samantha nie potrafiła jednak wykrzesać z siebie współczucia dla innych.

– Z Karen Kofer, proszę – powiedziała do słuchawki. Leżała rozciągnięta na kanapie, miarowo oddychając. – Mamo, to ja. No więc stało się. Zwolnili mnie. – Przygryzła wargę, by nie wybuchnąć płaczem.

– Boże, tak mi przykro. Kiedy to się stało?

– Jakąs godzinę temu. Można się było tego spodziewać, ale i tak boli.

– Wiem, kochanie. Bardzo ci współczuję. – Przez ostatni tydzień rozmawiały niemal wyłącznie o grożącym jej zwolnieniu. – Jesteś w domu?

– Jestem i czuję się dobrze. Blythe jest w pracy. Jeszcze jej nie powiedziałam. Nikt jeszcze nie wie.

– Bardzo mi przykro.

Blythe była współlokatorką i koleżanką ze studiów na Columbii, zatrudnioną w innym kombinacie prawniczym. Mieszkały razem, ale poza tym niewiele je łączyło. Kiedy jest się w pracy siedemdziesiąt pięć do stu godzin tygodniowo, zostaje mało czasu na życie towarzyskie. W firmie Blythe też nie działało się najlepiej i ona również szykowała się na najgorsze.

– Wszystko w porządku, mamo.

– Wcale nie. Może przyjechałabyś na parę dni do domu?

– Pojęcie domu w jej przypadku było dość płynne. Matka mieszkała w pięknym apartamencie w pobliżu Dupont Circle,

ojciec wynajmował niewielkie mieszkanie w nadrzecznym bloku w Alexandrii. Samantha nigdy nie spędziła więcej niż miesiąc w którymś z tych miejsc i teraz też się do tego nie paliła.

– Przyjadę – powiedziała. – Ale jeszcze nie teraz.

Cisza w słuchawce, potem miękki głos matki:

– Co planujesz, córeczko?

– Na razie nic, mam. Na razie jestem w szoku i nie potrafię planować na więcej niż godzinę do przodu.

– Rozumiem. Chciałabym być teraz przy tobie.

– Nic złego się nie dzieje, mam, słowo. – Ostatnia rzecz, jakiej Samantha teraz potrzebowała, to obecność zatroskanej matki i niekończący się potok rad, co powinna zrobić.

– Po prostu zwolnili czy ci dali jakieś wypowiedzenie?

– Nazywają to urlopem bezpłatnym. Polega to na tym, że przez rok odbywam bezpłatny staż w instytucji non profit i zachowuję ubezpieczenie zdrowotne. Po roku, jeśli wszystko wróci do normy, firma przyjmuje nas z powrotem bez utraty stażu pracy.

– Wygląda mi to na żalną próbę wzięcia was na smycz.

– Dzięki, mamusiu, za twoje typowe nieliczenie się ze słowami. – Powiedz tym durniom, żeby się wypchali.

– Nie powiem, bo chciałabym zachować ubezpieczenie. I chcę wierzyć, że mam szansę powrotu do tej pracy.

– Możesz znaleźć sobie inną.

Typowe rozumowanie biurokraty wyższego szczebla. Karen Kofer była starszym radcą w Departamencie Sprawiedliwości w Waszyngtonie, nigdy nie pracowała w kancelarii prawniczej, a tu siedziała od blisko trzydziestu lat. Jej stanowisko pracy, podobnie jak jej wszystkich kolegów, było ściśle chronione i żadne kryzysy gospodarcze, wojny, zmiany rządu, narodowe katastrofy, polityczne wstrząsy czy jakiegokolwiek inne nieszczęścia nie mogły przeszkodzić wypłaceniu jej poborów. Świadomość tego u wielu

biurokratów rodziła arogancję i prawdziwą butę.

Przeświadczenie, że dlatego nas tak traktują, że jesteśmy tacy niezbędni.

– Nie, mam – powiedziała Samantha. – Teraz nie ma innej pracy. Może o tym nie wiesz, ale trwa kryzys finansowy i jesteśmy o krok od zapaści gospodarczej. Firmy prawnicze pozbywają się całych tabunów prawników i zamykają za nimi drzwi.

– Nie sądzę, by sytuacja była aż tak dramatyczna.

– Czyżby? Scully i Pershing wstrzymali rekrutację nowych pracowników, a to znaczy, że kilkunastu najlepszych absolwentów prawa Harvardu właśnie się dowiedziało, że obiecanej od września pracy nie będzie. To samo jest na Yale, w Stanford i na Columbii.

– Ale ty jesteś wybitnie zdolna.

Szkoda czasu na przekonywanie biurokratów. Samantha zacerpnęła powietrza i już miała zakończyć rozmowę, gdy matkę właśnie pilnie wezwano „do Białego Domu” i musiała natychmiast się tym zająć. Zdążyła jeszcze obiecać córce, że do niej zadzwoni, jak tylko uratuje kraj. Samantha bąknęła, że nie ma sprawy, i się rozłączyła. Uzyskała od matki dokładnie tyle współczucia, ile potrzebowała. Była jedynaczką, co zważywszy na spustoszenia powstałe w wyniku rozwodu rodziców, nie było takie złe.

Dzień był piękny i słoneczny i Samantha poczuła ochotę odetchnięcia świeżym powietrzem. Poszła na spacer przez SoHo i dalej przez West Village. Weszła do niemal pustej kawiarni i zadzwoniła do ojca. Kiedyś Marshall Kofer był wziętym adwokatem procesowym, specjalizującym się w pozywaniu linii lotniczych o odszkodowania z racji katastrof. Stworzył w Waszyngtonie sprawną i agresywną kancelarię i spędzał sześć nocy w tygodniu w hotelach na całym świecie, uganiając się za pozwami lub stając przed sądami w imieniu swych klientów. Zarabiał masę pieniędzy, równie chętnie je

wydawał, i Samantha od dzieciństwa zdawała sobie sprawę, że rodzice są dużo zamożniejsi od rodziców jej koleżanek ze szkoły podstawowej. Podczas gdy ojciec występował w kolejnych głośnych sprawach, matka zajmowała się jej wychowaniem i po cichu robiła własną karierę urzędniczą. Jeśli nawet między rodzicami dochodziło do kłótni, Samantha w nich nie uczestniczyła. Ojca po prostu nigdy nie było w domu. W pewnym momencie – nikt nie potrafił określić dokładnie kiedy – na scenę wkroczyła młoda i ładna prawniczka i Marshall dał się złapać na lep. Przelotna przygoda zamieniła się w gorący romans i po paru latach jego trwania Karen Kofer nabrała podejrzeń. Oskarżyła męża o niewierność, on początkowo próbował zaprzeczać, szybko się jednak przyznał i oznajmił, że chce rozwodu, bo znalazł miłość swego życia.

Tak się złożyło, że z zawirowaniami w życiu osobistym Marshalla zbiegło się kilka niefortunnych decyzji w życiu zawodowym. Jedną z nich dotyczyła przyjęcia dużego honorarium poza granicami kraju. Należący do United Asia Airlines jumbo jet rozbił się na Sri Lance z czterdziestoma Amerykanami na pokładzie, nikt nie przeżył i Marshall Kofer jak zwykle dotarł na miejsce katastrofy przed innymi. W trakcie negocjacji odszkodowawczych powołał do życia kilka firm wydmuszek na Karaibach i w Azji, mających pośredniczyć w przyjęciu – a tak naprawdę ukryciu przed fiskusem – jego sowitego honorarium.

Samantha miała teczkę z wycinkami prasowymi, w których opisywano grubą nicią szytą próbę oszustwa ze strony ojca. Na ich podstawie można by napisać trzymającą w napięciu powieść, ale ona nie zamierzała tego zrobić. Ojca przyłapano, upokorzono i zmieszano z błotem w artykułach na pierwszych stronach gazet, po czym postawiono przed sądem, skazano i wsadzono na trzy lata za kratki, uprzednio pozbawiając go uprawnień adwokackich. Wypuszczono go dokładnie dwa

tygodnie przed ukończeniem przez nią studiów w Georgetown. Obecnie Marshall był kimś w rodzaju konsultanta w niedużej kancelarii w starej części Alexandrii. Twierdził, że doradza adwokatom procesowym w pozwach zbiorowych, ale na temat szczegółów wypowiadał się dość mętnie. Samantha była przekonana, że ojcu udało się ukryć gdzieś na Karaibach pokaźny łup z dawnej działalności. Tak samo uważała jego rozwiedziona żona, jednak przestała już tego szukać.

Choć Karen zawsze temu zaprzeczała, to Marshall od początku podejrzewał, że była żona maczała palce w jego upadku. Miała w Departamencie Sprawiedliwości wysoką pozycję i wielu wpływowych przyjaciół.

– Tato, zwolnili mnie z pracy – powiedziała Samantha cicho do słuchawki. W kawiarni było wprawdzie pusto, ale w pobliżu kręcił się barista.

– Och, Sam, tak mi przykro! – wykrzyknął Marshall. – Opowiadaj.

Jej zdaniem, więzienie nauczyło ojca tylko jednego. Nie nauczyło go ani pokory, ani cierpliwości, ani wyrozumiałości, ani umiejętności wybaczenia, ani niczego, czym człowiek nasiąka po tak upokarzającym upadku. Był jak zawsze pełen energii i ambicji, nadal gotów brać się za bary z każdym kolejnym wyzwaniem i deptać każdego, kto mu stanie na drodze. Z jakiegoś jednak powodu Marshall Kofer nauczył się słuchać, w każdym razie córki. Powoli opowiedziała mu wszystko, a on zdawał się wsłuchiwać w każde jej słowo. Zapewniła go, że sobie poradzi, ale on w pewnym momencie zareagował tak, jakby za chwilę miał się rozplakać.

Normalnie rzuciłby kilka zjadliwych uwag o jej podejściu do zawodu prawniczego. Nienawidził wielkich firm prawniczych, bo przez lata z nimi walczył. Uważał je za zwykłe korporacje, a nie kancelarie prawnicze, w których prawdziwi adwokaci występują w interesie swych klientów. Mógłby w każdej chwili stanąć na rogu ulicy i wygłosić